Nr 47. (porz. 177.) Kraków, sobota d. 22. listopada 1902. Rok V.

OBRONA LUDU

tygodnik stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

Właściciele: Dr Michał Danielak i ks. Andrzej Szponder.

Wychodzi co sobotę. Kosztuje rocznie 4 kor półrocznie 2 kor. Numer pojedynczy kosztuje 20 hal. 'Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Biuro bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratorów „Obrony Ludu“ jest otwarte codziennie rano i popołudniu. Kraków, ul. Pijarska 2.

Redakcya i administracya znajduje się w Krakowie ul. Pijarska l. 2.

Ogłoszenia po 10 h. od wiersza półszpaltowego. Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem: Administracya „Obrony ludu“, Kraków, ul. Pijarska l. 2.

PIJAŃSTWO JEST ŹRÓDŁEM ZBRODNI I NĘDZY!

POCHWALONY JEZUS CHRYSTUS!

„Nie bójcie się — nie zginiecie“!

W zamkowym wileńskim kościele, pod malowaną kopułą, spoczywa w srebrnej trumnie królewicz święty (św. Kazimierz). Spoczywa — ale nie śpi. Leży w płaszczu szkarłatnym gronostajami obramowanym i w czapce wielkoksiążęcej. Bujne włosy spadają mu na ramiona — ręce pobożnie złożone. Oczy ma przymknięte, ale słyszy wszystko — i wszystko odczuwa.

Słyszy skargi tych tłumów, co się cisną do jego ołtarza — słyszy ich wołania: Ratuj nas, patronie święty! Ratuj lud swój, królewiczu nasz! Wstaw się za nami do Boga — i wybaw z udręczenia i męki!

A tłumy to wielkie, niezliczone. Mężczyźni i niewiasty, starzy i młodzi, bogaci i biedni, uczeni i prostaczkowie — a wszyscy ze skargą na ustach, ze łzami w oczach, z wołaniem o zmiłowanie.

Dzień to patrona. Więc tłumy się cisną od wczesnej zorzy do późnego wieczora. Świątynia brzmi pieśnią i muzyką — wznoszą się wonie kadzideł, powiewają barwne chorągwie, grają organy. Cześć oddają świętemu królewiczowi.

Lecz ponad hymnem uroczystym, wzbija się i góruje żałosny jęk ludu i wypełnia świątynię. Ratuj nas, bo giniemy!

Noc zapada powoli. Cienie kładą się dokoła — świece gasną, śpiewy milkną i tłum wylewa się na zewnątrz. Czarnym potokiem rozlewa się w przestrzeni i łączy się z ciemnościami i topnieje w nich i niknie.

Święty królewicz sam pozostaje w swej srebrnej trumnie, pod malowaną kopułą. Czuwają nad nim aniołowie podtrzymujący baldachim i dumne ptaki, co na sobie jego śmiertelne łoże dźwigają. Czuwają poważne postacie ukoronowanych ojców i braci. Cisza zaległa pustą już świątynię. Pustą... A jednak, tak pełną jeszcze tych serc ludzkich, które tu pozostały i to błyszczą czystym blaskiem, uczepione na kolumnach, to się krwawią różami na stopniach ołtarza. Pustą... A jednak, brzmiącą wciąż jeszcze echem skargi i prośby: Ratuj lud swój, królewiczu nasz!

Więc, pomimo ciszy i ciemności, królewicz spocząć nie może. Słyszy jęk swojego ludu i czułe jego serce cierpi i boleje.

Bo przecież lud to jego własny, z którego powstał i wyrósł — który go wychował i opieką otoczył i w poczet świętych umieścił. On jest kością z kości jego — kroplą jego krwi. Tu, wśród ludu tego, pędził swój ziemski żywot, otoczony zawsze miłością i czcią. Tu, z tej zamkowej góry, schodził o świcie i klękał pokornie na zimnych kościelnych płytach. Tam, na Trzykrzyzką, szedł w wieczorną zorzę dumać o nadziemskich rozkoszach i poić oczy pięknością tej ziemi, którą miał tak wcześnie porzucić. Z tych uliczek i zaułków szli ku niemu zbiedzeni i nędzni, a on ich wspierał i pocieszał. Pochylał swój majestat nad łożem chorych — dotykał dłonią białą wszelkich kalectw, uzdrawiał, koił. Nawet umarłe dzieci spłakanym matkom zwracał. Nawet z wysokości nieba zstępował, aby w bitwie walczyć na czele wojsk swoich przeciw wrogom. I był tu zawsze obecny — zawsze wśród swoich mieszkający.

A za to lud ten był mu stale wierny. Imię jego czcił, wystawiał mu wspaniałe kościoły, na grób sprawiał bogate ozdoby, na piersiach wizerunki jego zawieszał — a w chwilach niebezpieczeństwa zwłoki jego unosił jako skarb swój drogi i w miejscach dalekich przed wrogami ukrywał.

I węzeł wiązał się coraz mocniejszy między królewiczem, spoczywającym w srebrnej trumnie w ołtarzu — a ludem kochającym wiernie.

A teraz? Lud ten o ratunek błaga Miałżeby on pozostać nieczułym? Nie! Pójdzie i wstawiać się za nim będzie u niebieskiego tronu. A jeśli jego modlitwy nie będą skuteczne, to Ją, Pannę św. i także patronkę tegoż ludu, do wstawiennictwa skłoni. Ona z nim wespół u syna swego ratunek wymodli — Ona mu w tem nie odmówi pomocy — Ona, którą co dnia sławił pieśnią: »Omne die dic Mariae...« Z nią najprzód naradzić się należy.

W ciszy nocnej, wieko trumny się podnosi... Wstaje królewicz ze swego śmiertelnego łoża — zstępuje na kamienną posadzkę i idzie wolnym krokiem przez kościół. Płaszcz szkarłatny za nim się wlecze, ale berło w grobie zostawił i w ręku niesie tylko lilie białe — kwiat swój ulubiony. Idzie ku drzwiom kościelnym — a przez nie w puste i senne ulice.

Śpi już miasto snem ciężkim po świątecznym dniu. Śpi lud wiejski przybyły na uroczystość swego patrona. Ulica pusta i głucha. Wysoko na niebie gwiazdy mrugają.

Idzie królewicz zwolna pod blaskiem gwiazd — z lilią w dłoni.

Idzie drogą, którą nieraz za życia deptały nogi jego — mimo zamku jego, mimo wzniesionej na cześć jego świątyni. Do Matki świętej idzie, do Panny, co w Ostrej świeci Bramie.

Tam klęka przed jej obrazem. I rozsuwa się zasłona wzorzysta — i uśmiecha się do niego z pod wspaniałej korony twarz śliczna, łagodnym smutkiem znaczona. «Synu mój miły« — rzecze głos dźwięczny jak anielskie granie — »co cię tu do mnie sprowadza?«

— »O Matko! skargi mojego ludu spocząć mi nie dają. Znajdź dla niego radę, Ty, coś jest dobra, coś jest u Boga potężna«.

— »Moje serce również żałością wzbiera...«

— »Więc radź, Matko...«

— »Naradźmy się, synu mój, wspólnie — o co Boga dla ludu twego prosić mamy?«

I między Panną świętą w złocistej koronie, ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, a królewiczem klęczącym w płaszczu szkarłatnym z białą w ręku lilią — następuje narada.

Ludzie śpią i nie wiedzą, że tam, z wysokości swej strażnicy, Matka czuwa nad niemi i wespół z królewiczem ich losy rozważa. Długo w ciszy nocnej dumają oni nad dolą ludu kochanego — i nad tem, co mu u Boga uprosić mają. Aż blady świt zaczyna spędzać noc ciemną.

A gdy nazajutrz, w drugi dzień święta swego patrona, tłumy znowu się cisną przed jego ołtarze, odchodzą stamtąd ukojone i ciche. Bo każdy w głębi duszy usłyszał głos jego mówiący: — »Nie bójcie się — nie zginiecie! Bo oto daję wam dar Boży — świętą cnotę wytrwałości«. *E. Jelińska.*

Zamach anarchistyczny na króla belgijskiego.

Na króla belgijskiego Leopolda wykonał zamach anarchista włoski Rubino. Strzelił on do króla, gdy jechał przez miasto w powozie. Króla nie trafił, tylko zranił ochmistrza dworu. O tym zamachu donoszą z Belgii:

Rubino jest robotnikiem bez zajęcia; przybył przed niejakim czasem z Londynu do Brukseli i udawał się do konsulatu i ambasady włoskiej z prośbą o wsparcie na powrót do ojczyzny. Konsul udzielił mu zasiłku w gotówce. Przesłuchiwany po zamachu, twierdził, że strzelił »w gniewie na widok przepychu«; twierdzeniu temu zaprzecza fakt, że strzały były skierowane na trzeci powóz, w którym zwykle siedzi król. Tym razem król Leopold I zajmował przypadkowo z hr. Flandryi pierwszy powóz; w trzecim znajdował się ochmistrz dworu, hr. Oultremont. Szyba, stłuczona kulą, zraniła go lekko w twarz.

Przy przesłuchaniu zeznał Rubino, że nieznalazłszy w Brukseli zajęcia, postanowił wykonać zamach. Przed południem udał się do kościoła św. Guduli, aby tam strzelić do króla, opuścił jednak kościół, bojąc się, że kula może ugodzić inne osoby i sta-

nąwszy na ulicy, oczekiwał na przybycie królewskiego orszaku. W chwili, gdy chciał strzelić do pierwszego powozu, konie ruszyły kłusem — poprzednio szły stępa — i kula trafiła w trzeci powóz.

Rubino przyznał, że zamiarem jego było zranić króla, że jest anarchistą i czynu swego nie żałuje. Spólników — jak twierdzi — nie miał żadnych. Przy rewizyi jego sukien znaleziono kilka kart z portretami rodziny królewskiej; przy rewizyi mieszkania skonfiskowano anarchistyczne dzienniki.

Rubino zachowuje się zupełnie obojętnie, zapytywał się jednak, jaka kara go może go spotkać. Śmiercią nie może być ukarany według kodeksu karnego, gdyż w Belgii kara śmierci nie istnieje.

Rubino urodził się d. 24 listopada 1859; ma dwóch braci i dwie siostry; ojciec jego jest poważanym obywatelem i był członkiem rady miejskiej. Rubino ma być bardzo zdolnym człowiekiem, był sierżantem 50 p. p. — Jako żołnierz, został zasądzony na 5 lat więzienia z powodu napisania artykułu do pewnej gazety. Później był on nauczycielem języka francuskiego w Medyolanie, gdzie go za fałszerstwa zasądzono na 4 lata więzienia. Ożenił się w r. 1890. Żona jego żyje i cierpi na pomięszanie zmysłów. Rubino po odsiedzeniu ostatniej kary, udał się z bratem do Londynu. Miejsca pobytu brata jego Henryka dotychczas nie wyśledzono. Anarchiści, uważając Rubiniego za zbiega, atakowali go nawet w swoich pismach.

Siostra Rubiniego opowiadała ze łzami w oczach pewnemu dziennikarzowi o wielkich zdolnościach brata i okazywała liczne rysunki jego z lat młodocianych.

Król włoski, dowiedziawszy się o niedoszłym zamachu na króla Leopolda, wykonanym przez Włocha, rzekł ze smutkiem: »Jest wstydem i hańbą wobec całego świata, że wszędzie, jako anarchistyczni spiskowcy występują Włosi!«

Legienda o św. Krzysztofie.

(Dokończenie).

— Jakże mogłeś utrzymywać, że nie obawiasz się nikogo, — zagadnął Oferus, — kiedy mieszasz się na widok tego krzyża? Czyż się lękasz tego drzewa? Widzę, że mię oszukałeś, że jest potęga wyższa od Twojej.

— Nie mogę temu zaprzeczyć — odparł zawstydzony szatan: jest mocarz silniejszy odemnie, zowie się Chrystusem i na krzyżu, przez miłość dla ludzi, poniósł śmierć męczeńską. Królestwo jego wszakże jest królestwem pokoju i miłości, a słudzy jego sługami światła i cnoty, ty więc nie mógłbyś być teraz w żaden sposób zaliczony.

— Sprobuję — odparł Oferus — pójdę szukać tego mocarza wyższego nad wszystkie potęgi i służbie jego siły moje poświęcę.

I nie zważając na szyderstwa szatana, poszedł Oferus w daleką drogę szukać Pana nad pany. Szedł dzień za dniem, pytając każdego, gdzieby mógł spotkać Chrystusa, ale nikt nie umiał mu na to odpowiedzieć. Wreszcie wieczora jednego, smutny, strudzony, po daremnej wędrówce, usiadł i zapłakał Oferus, że nie może znaleźć najpotężniejszego Pana.

Kiedy tak zafrasowany siedzi, nadchodzi pustelnik i pyta:

— Czemuś taki smutny, człowiecze?

— Szukam służby u Chrystusa, a nie mogę Go znaleźć. Chcę robić, co mi rozkaże, będę zabijał Jego nieprzyjaciół i burzył wszystko, jakom czynił dla szatana.

— Nie potrzebuje Chrystus — odrzekł poważnie pustelnik — iżbyś zabijał jego nieprzyjaciół.

— Ale gdzie jest Chrystus?

— Wszędzie, — odrzekł pustelnik.

Poganin nie zrozumiał i coraz więcej zdziwiony pytał powtórnie:

— Jak mam służyć Chrystusowi?

— Módl się i pracuj! — rzekł zapytany.

Modlić się Oferus nie umiał, lecz umiał pracować. Poszedł tedy za pustelnikiem nad bystry strumień, płynący z góry, w którym wielu chcących się przeprawić na drugą stronę potonęło.

— Tędy, — mówił pustelnik, — dąży wielu pielgrzymów do miejsca słynącego cudami; ani łodzią, ani mostem przedostać się przez rzekę nie mogą, a przechodzić ją w bród niebezpiecznie. Tobie dał Bóg silne zdrowie i ciało olbrzymie, przenoś więc podróżnych na swoich barkach. Jeżeli to czynić będziesz dla miłości Chrystusa, poznasz Go i przyjmie cię za sługę swego.

— Zrobię to dla miłości Chrystusa — zawołał z radością Oferus.

Zbudował nad brzegiem rzeki chatę, z gałęzi rozłożystego drzewa zrobił gruby sękaty kij, i podpierając się nim, przenosił odtąd znużonych drogą podróżnych na brzeg przeciwny. Błogosławili mu ludzie, chcieli wynagradzać, ale Oferus nie przyjmował nigdy nagrody i dziękującym odpowiadał:

— Nie dziękujcie mnie, ale Chrystusowi, bo ja to dla Niego czynię.

Mijały miesiące i lata; muskularne członki olbrzyma słabnąć zaczęły pod brzemieniem starości, mimo to cierpliwie i wytrwale pełnił służbę swoją dla miłości bliźniego, niezachwiany w nadziei ujrzenia Chrystusa.

Jednej nocy zmordowany pracą dzienną, wrócił do chaty i położył się na spoczynek. Na dworze wiatr dął przeraźliwie, a spienione fale rzeki odbijały się z łoskotem o brzegi. Naraz żałosny głos dziecka doszedł uszu zasypiającego Oferusa, zerwał się na równe nogi i wyszedł bez względu na burzę; nie znalazłszy jednak zbłąkanego dziecka, wrócił i położył się na twarde łoże swoje.

— Pewno śniło mi się — myślał w duchu.

Po chwili słaby głos, zmieszany z szumem wiatru, doszedł go na nowo.

— Dobry człowieku, przenieś mię przez rzekę, — prosiło dziecię.

Wyszedł znowu i znowu wrócił po bezowocnem poszukiwaniu. Po raz trzeci doszło go żałosne wołanie o pomoc.

— Dziecko musi być po drugiej stronie rzeki, — mówił do siebie starzec. Wziąwszy wedle zwyczaju swój gruby kij w rękę, mimo ciemnej nocy, przeszedł na drugi brzeg rzeki. Tu znalazł oczekujące go dzieciątko o słodkiem obliczu, z oczyma promieniejącemi uczuciem miłości. Wziąwszy je troskliwie na ramiona swoje, wszedł w rzekę, lecz zaledwie postąpił kilka kroków, uczuł, że ramiona jego gięły się pod dziecięciem, jakby pod niezwykłym ciężarem; burza wzmagała się, a woda z każdym krokiem była

dzisiaj głębsza. Oferus pierwszy raz w życiu uczuł strach i drżenie, podniósł głowę i rzekł:

— Dziecię, dziecię, dlaczegoś ty takie ciężkie? Mnie się zdaje, że świat cały dźwigam na moich barkach!

Nagle burza ustała, niebo się wypogodziło i nowe siły zaczęły go ożywiać. Doszedł szczęśliwie do brzegu, a gdy dziecię postawił na ziemi, ono słodkim głosem odezwało się:

— Nie dziw się i nie lękaj, dobry i wierny sługo! Jam jest Chrystus, którego szukałeś. Chrzczę ciebie w imię Ojca, w imię moje i w imię Ducha św.. odtąd zwać się będziesz Krzysztof, to jest piastun Chrystusa, i uczyć będziesz ludzi, by miłowali siebie wzajemnie. A na dowód, że prawdę mówię, zatknąwszy kij swój w piasku, ujrzysz go pokryty kwieciem.

I Dzieciątko znikło.

Nazajutrz, gdy się Krzysztof obudził, zastał na brzegiem kij swój pokryty kwiatami. Nadziemska radość przepełniła teraz serce jego.

Ochrzczony tak cudownie, poszedł Krzysztof w świat pomiędzy pogany, rozszerzając naukę Chrystusową. Wielu nawrócił, lecz w czasie prześladowań chrześcian poganie, za poduszczeniem swych kapłanów, ukamienowali go. Nie bronił się Krzysztof, choć był tak olbrzymiej siły, lecz z rozjaśnionem obliczem poniósł śmierć męczeńską.

* * *

Ileż prawdy mieści się w tej starej legendzie! Oferus szukał po świecie potęgi i siły, a znalazł je tylko w Chrystusie, Któremu służył wiernie, nie znając Go jeszcze.

My nie potrzebujemy wyczekiwać na przyjście Mistrza naszego. Przemawia on codziennie do serc naszych przez słowa nauki Swojej; słuchając Jego głosu, zwalczymy skutecznie samolubne skłonności i pokusy tego świata, a życie nasze zakwitnie dobrymi uczynkami, wzorem łaski św. Krzysztofa.

Uwolnienie od podatku.

(Porada prawna).

Każda gmina powinna dołożyć starań, aby każdy nowo wybudowany dom zyskał w przepisanym czasie dwunastoletnie uwolnienie od podatku. W tym celu powinna gmina przedkładać w imieniu podatników prośby o wolne lata równocześnie, gdy donosi Starostwu o wybudowaniu nowego domu celem wymiaru podatku.

Obniżenie podatku domowego na kwotę 1 K 50 h, dla lepianek, tudzież chat samoistych.

Podatek dla zwykłych domów o jednej części mieszkalnej wynosi kwotę 3 K rocznie, jeżeli zaś dom taki o jednej części mieszkalnej jest zbudowany z trzciny, z ziemi bez muru, z plecionki chrustowej lub wreszcie z kołów, albo też chata leży samotnie bez związku z osadą gminną, to od takich budynków przypada tylko połowa podatku, t. j. kwota 1 K 50 hal. Co do chat samotnych to zauważa się. iż za takie należy uważać domy odległe co naj-

mniej 300 kroków od osady gminnej, albo domy położone wprawdzie bliżej osady, ale oddzielone od niej naturalną przeszkodą np. górą, rzeką, tak, że chcąc się dostać z osady do tej chaty kołowo, trzeba przebyć najmniej 300 kroków drogi.

Obniżenie podatku na 1 K 50 hal. z powodu samotnego położenia domu ma bardzo wielkie zastosowanie we wsiach górskich. Zwierzchności gminne powinny zatem w takich wypadkach umieścić na końcu urzędowego protokołu dochodzeń (protokół K.) następującą uwagę:

»Ponieważ dom ten zawiera tylko jedną część mieszkalną, a leży samotnie poza wsią, (albo zbudowany jest z chrustu i t. p.), przeto stawiamy wniosek na wymierzenie podatku domowego w kwocie 1 K 50 hal., tem bardziej, iż właściciel jest niezamożnym rolnikiem«.

Jeżeliby zaś pomimo tej uwagi wymierzyło Starostwo podatek domowy w kwocie 3 K., należy wnieść przeciw dotyczącemu uwiadomieniu w terminie dni 30-tu rekurs następującej treści:

Wzór prośby:

C. k. Starostwo!

Według załączonego uwiadomienia, wymierzyło mi c. k. Starostwo od mego domu pod lp. w.... podatek domowo - klasowy w kwocie 3 K. pomimo iż mój dom, zawierający 1 część mieszkalną, leży samotnie bez związku z osadą gminną, (albo: zbudowany jest z chrustu); a zatem powinien opłacać podatek domowy w kwocie 1 K 50 hal. Upraszam zatem o odpowiednie sprostowanie wymiaru tem bardziej, iż jestem biednym rolnikiem.

N. N. (właściciel domu).

Do matusi...

Przez Edmunda Zechentera.

III. (Dokończenie).

Minęło lato, szła jesień, pożółkłe liście kładły się na drogach i szeleściły pod nogami w sadach i na obejściach gospodarskich. — W październiku dni były pogodne, białe pajęczyny snuły się w słońcu, stada szczygłów obsiadały osty na pastwiskach, a pola znowu zaroiły się ludźmi. Na ziemniaczyskach, pełnych poczerniałych badyli, posuwały się zwolna szeregi pochylonych kopiarzy, na role pod zasiewy wyjechały pługi i brony.

A Jędrusiowi było coraz smutniej i gorzej pod ojcowską strzechą. Macocha na święty Michał do pomocy w gospodarstwie sprowadziła córkę, co nie mając wyżycia we wsi, chodziła służbami. Dziewka była krzykliwa, zła, o byle co klęła i pomstowała na chłopca. Ojciec, rad, że kobiety od rana do nocy uwijają się koło dobytku, ani myślał ująć się kiedy za nim. Raz nawet, gdy dworski polowy zajął jedną krowę, co wlazła w pańską kapustę i Knapik musiał całego papierka za wykupienie zapłacić,

takie synowi sprawił lanie, że chłopiec przez dwa dni ruszać się nie mógł. Wiadomo, ciężka ręka ojcowska, a serce matczyne słodzieńkie i miłosierne... Niedawne to czasy, raz na boisku tatuś także okrutnie, przez opamiętania go bili, tak, że nijakiego głosu już nie wydał... Jak na to matusia, co byli w polu, nie nadlecą, jak nie zasłonią go sobą, tak potem bez cały tydzień mieli czarne sińce pod oczami...

Zbliżały się Zaduszki. Jędruś wyczekiwał ich z takiem upragnieniem, jak po inne lata, godnich świąt, lub Wielkanocy. — Wprawdzie okrutna żałość kładła mu się na serce, gdy pomyślał, że tego roku już i matusi zapalą świeczki na mogiłkach, jako dziadkowi, co dawno już pomarli, albo ujnie, ale pocieszała go inna nadzieja... Oto w Zaduszki, o północy, pójdzie na cmentarz i ujrzy matusię, jak będą szli na nabożeństwo do kościoła... Wiedział, że niebezpiecznie dla żywego człeka znajdować się tam o tej godzinie. Nieraz w zimie, gdy sąsiadki zeszły się do nich na prządki, gwarzyli o tem babka, a on słuchał z ciekawością i wszystko dobrze spamiętał. Umarli podobno bardzo źli, gdy zobaczą, że ich kto podpatruje. W zaduszną noc to nawet wsią iść niebezpiecznie. O północy, na rozstajnych drogach, koło figury, pono ma być ścisk, jak na jarmarku. Moc zmarłego ludu z parafialnych wsi, wracając z odwiedzin u najbliższych, dąży do kościoła na mszę.

Przemyślał to wszystko Jędruś, ale od zamiaru nie odstąpił. Na myśl o wyprawie na cmentarz, naturalny lęk zwyciężało rzewne rozradowanie, od którego gorąco robiło się chłopcu koło serca, a w oczach dwoił się świat boży od łez...

— A niech ta! — mówił sobie. — Niech se duszyczki robią, co chcą, a ja do matusi pójdę... Przecie krześcijany, łba mi nie ukręcą... Wezmę se na pomoc imię Jezus, wyjmę szkaplerz poświęcany na misyji i nijakie złe nienajdzie do mnie przystępu... A z chałupy się wysmyknę i żeby ta niewiedzieć co, do matusi pójdę, tak mi Panie Jezu dospomóż!

Nazajutrz po Wszystkich Świętych dzionek zbudził się mroźny, białe szrony pokryły strzechy, drzewa i pola, ale wnet wybiegło w górę słonko, zaróżowiło świat, a na mogiłkach, za kościołem, zaczęły po nabożeństwie płonąć skromne światełka. Gdzieniegdzie na drewnianym krzyżu zawisł wieniec z świerczyny, lub barwinku, a u stóp kilku kamiennych nagrobków mrugały małe płomyki w lampkach kolorowych.

Przed wieczorem, w chacie Knapików powstał niemały kłopot. Parobek od wójta przyniósł róg z poleceniem, aby dzisiaj z pod tego numeru pełniono służbę nocą. We wsi nie było nocnego stróża, lecz róg gminny co dnia szedł od domu do domu. Zwykle na nocne stróżowanie wychodził gospodarz, syn starszy lub parobek i chodząc do świtania, dawał znać trąbieniem, że czuwa.

— Akurat! — żachnął się Knapik, gdy się drzwi za posłańcem zamknęły — będę mu dzisiaj tłukł się po nocy, będę se biedy szukał! Zapłacę štrof, a nikaj nie pójdę!...

— Jabym też za żadne pieniądze nie szła — rzekła gospodyni. — Niech ręka boska broni, co się hań na gościńcu, kole figury, abo i nade stawem będzie działo przed północkiem! A ty, Maryna, poszłabyś? — zwróciła się do córki.

— Gospodarz nie chcą, sami się bojacie, a ja zaśbym szła?...

A niechby Jędrek raz poszedł... Dy i młodsze chłopaki we wsi stróżują nocami... Ale wylazłby to wam ten gamoń w nocy z chałupy?...

— A kto ci pedział, żebym nie wylazł?

Odezwanie się chłopca zrobiło wrażenie.

— Szedłby? — zapytał ojciec.

— A juści, żebym szedł. Czego mam się strachać? Nie pierwszyzna mi nocą iść bez wieś, wezmę se Boga na pomoc, zrobię krzyż święty na sobie i pójdę. Krzyż święty wszelakie złe odegna...

— Racyja twoja, Jędrek — przyświadczył skwapliwie Knapik, rad, że pięć szóstek „strofu“ zostanie mu w kieszeni — coby ci zaś miało się stać? Wiadomo, wszystkie strachy, ino babskie bajania. Przelecisz se kole wójtowej chałupy, udrzesz mu się, co pary w gębie, a potem raz bez wieś i przed północkiem będziesz doma.

* * *

Gdy z jasnej izby wyszedł Jędruś na świat, objęła go zrazu noc, jakby mu kto dłonią oczy zasłonił. Ubrany w krótki kożuszek po matce, w ciężkich butach, baraniej czapce na głowie, z lagą w garści i rogiem na grubym postronku, przewieszonym przez ramię, potykał się z początku na wybojach i szedł w pierwszych chwilach prawie po omacku. — Wnet jednak oczy chłopca przyzwyczaiły się do ciemności. Podniósł głowę i przekonał się, że noc była gwiaździsta, tylko połowę nieba przysłoniło olbrzymie, nieruchome cielsko czarnej chmury. Koło chat już uśpionych psy spuszczone z łańcuchów witały go ujadaniem, lecz poznawszy wsiowego, odchodziły spokojnie. Gdy był już w środku wsi, zbliżając się ku stawowi dworskiemu, otoczonemu od strony drogi półkolem starych olch, mrowia jęły przebiegać mu po plecach. Od ogromnych drzew szły poszumy, ale jakieś przejmujące, pełne ponurej grozy... Podniósł róg do ust i zadął kilka razy. Głos rozpłynął się w głębiach nocy i naokół zaległo tajemnicze milczenie. Nieokreślony lęk nagle opanował chłopca. Zatrząsł się cały, serce uderzyło na trwogę zdało mu się, że w tej ciszy czai się coś na niego... Co prędzej wydobył szkaplerz, pocałował i przeżegnał się głośno:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego, amen.

Własne słowa, wyrzeczone wśród czarnej pustki i samotni, dziwnie obco go uderzyły. Zląkł się ich prawie. — Wtem, za drzewami, jakby coś zachychotało przeciągle. Zaczął gorąco, z uniesieniem ducha, odmawiać „Pod Twoją obronę“ i uspokajając się stopniowo, okrążał dalej staw, który wyłonił się z ciemności, świecąc martwym połyskiem, niby olbrzymie oko, zamarłe a rozwarte na wieki. W stawie tym pono mieszkało „złe“, i dawniej, nocami, wodziło jadących. Ongi fornal dworski wpadł do niego z wozem i parą koni i utopił się. Mieszkały też tutaj boginki i za dawnych czasów dzieci babom odmieniały. Teraz jeszcze kobiety z najbliższych chałup opowiadały, że piorą chusty kijankami i czasem w nocy słychać ode stawu okrutne pranie; ciap! ciap! ciap! rozlega się pono niekiedy aż do drugiego piania.

Ale Jędruś teraz ani zwodniczych światełek nad stawem nie widział, ani ciapania kijanek nie słyszał. Z modlitwą, odmawianą gorącem przejęciem, wnikała do duszy chłopca odwaga i chciało mu się nawet zaśmiać z siebie, że przed chwilą dał się lękowi opanować.

Całkiem uspokojony, kierował się w górę ku kościołowi. Koło wójtowej chałupy trąbił siarczyście, aby słyszeli, że od Knapików stróżują, jak się patrzy. Tu i owdzie psy wsiowe przybiegały do chłopca, niektóre łasiły się i z uciechą towarzyszyły mu przez kawałek drogi. Dopiero na cmentarzu znalazł się zupełnie sam. Nie bał się, pewny był, że mając poświęcany szkaplerz na piersiach, niczego złego obawiać się nie potrzebuje, — ale noc, cmentarz, Zaduszki uczyniły swoje. Bezwiedna trwoga zaczęła nim trząść, jak listkiem osiki. Szczypta ukojenia wstąpiła weń, gdy dotarł do mogiły matki. Tam czuł się bezpieczniejszy. Zdjął czapkę, odmówił nabożnie wieczny odpoczynek, Ojcze nasz, Zdrowaś i dziwnie bezsilny, usiadł na brzeżku mogiły, ocierając rękawem strumienie potu z czoła i twarzy.

Dokoła wszystko stało w głębokiej, prawie czarnej pomroce. Bystre, młode oko dostrzegało zaledwie jakiś bliski krzyż, jakiś nagrobek kamienny, kilka nisko zwisających gałęzi i majaczącą opodal grupę brzózek z pniami białemi, jak zjawiska. Dalej już zionęła rozwarta, niezgłębiona, jak otchłań, paszcza czarnej nocy. Na niebie cielsko olbrzymiej chmury rozwaliło się tak szeroko, że tylko wąski, granatowy płat, usiany gwiazdami rozjaśniał nieco przepaściste, nadziemne przestrzenie. — Szczytami drzew szły ciężkie poszumy, szczególniej pełne wymowy... Chłopcu się zdało, że słyszy w nich jakieś bolesne westchnienia, zawodzenia, błagania o ratunek... — Poszumy wzmagały się z każdą chwilą, niosąc z sobą coraz głośniejsze płacze, jęki i biadania, na wysokościach czarny zwał chmur chłonął zwolna płat gwiaździstego nieba, a wśród mogił, krzyżów i drzew cmentarnych czyniło się coraz straszniej. Naraz, jakby wszystko dokoła zaczęło ruszać się, żyć... Białym pniom topólek wyrastały ręce i wśród chwiań ustawicznych zdawały się puszczać w dzikie pląsy... Z poza kamiennego nagrobka coś ciemnego wymknęło się szybko ku kościołowi... tu i ówdzie z pośród mogił podnosiły się jakieś postacie...

Skamieniały, nie mogąc ruszyć się z miejsca, patrzał chłopczyna na te dziwy i czary. Serce chwilami waliło mu w piersi jak cepem, tamując oddech; chwilami martwiało. w głowie poczynał się szum straszliwy, a wówczas wszystko, co majaczyło dokoła: drzewa, krzyże, gałęzie, rozpostarte na kształt skrzydeł potwornych, wirując zawrotnie, leciało mu na oczy. Chwilami mroźne dreszcze przelatywały mu pod czaszką, objętą ogniem i lodowatą strugą spływały aż do kolan i stóp zmartwiałych, jakby obcych. Po plecach łaziły straszliwe mrowia, a wskróś mózgu, jak ostrze rozpalone, tkwiło uparte poczucie, stawiające dębem włosy na głowie: oto ktoś stoi za nim, czuje go wyraźnie za sobą, i już, już dotknie kościstą ręką jego ramienia. Z czoła lał mu się zimny pot, spływający po twarzy razem ze łzami żalu, trwogi i niepojętego wzruszenia...

Wtem zdało mu się, że ktoś bardzo cicho woła nań po imieniu. Dreszcz lodowaty pohwycił go całego, od czupryny aż do pięt, przed oczyma mignęły płomienie...

— Jędruś! Jędruś!...

Chłopca jakby coś pchnęło nagle. Zachwiał się i stoczył z mogiły. Potworne huki, niby grzmoty ziemi, walącej się na trumnę, szumiały mu pod czaszką długą chwilę... Wreszcie ucichły — i na mgnienie oka zjawiła się przednim matusia... Blada, zbiedzona, zaodziana w grubą chu-

stkę, zmokniętą jak wśród ulewy, pochyliła się nad nim — i rzekła ze smutkiem:

— Widzisz Jędruś, to łzy twoje tak ze mnie cieką...

. . . .

Nazajutrz grabarz przechodzący cmentarzem spostrzegł martwego chłopca, leżącego wśród mogił, z szkaplerzem wyjętym na wierzch kożuszka i rogiem gminnym, przewieszonym przez ramię. Niebieskie jego oczy, szeroko rozwarte, patrzały w niezmierne dale, a na ustach ściągniętych i posiniałych, jakby zawisło jakieś rzewne, niewymówione słowo...

SPRAWY LUDOWE.

Czy to po chrześcijańsku i po katolicku? Proszę uprzejmie Szanowną Redakcyę „Obrony ludu“, aby łaskawie wydrukowała tych parę moich uwag. Jestem proboszczem od lat 19, pracuję nad ludem długie lata i kocham ten lud mój drogi i jako kapłan i jako sam dziecko ludu. To tem więcej boli mnie, gdy widzę, że są wśród tego ludu tacy, co zamiast siać jedność i zgodę w narodzie, sieją nienawiść, złość i złe myśli, zawiść i gniew. A przecież my wszyscy dzieci jednego Boga i wszyscy dzieci jednej matki-ziemi polskiej. Ale co chcę podnieść. Oto uderzyło mnie tak boleśnie to, że *Związek chłopski*, pismo niby katolickie, napada w jakiś nienawistny, grzeszny sposób na tych wszystkich, co w surdutach chodzą. Powiada, że wszystkiemu są winni „surdutowcy“, że największym (!) wrogiem ludu są surdutowcy itd. Prawie w każdym numerze jest coś takiego. Ja się pytam, czy to po chrześcijańsku? czy to po katolicku? Niedawno napadł *Związek* na księży, teraz napada na surdutowców. A przecież — jak mi pisze mój kolega, ksiądz z pod Sącza — obaj posłowie Potoczkowie chodzą w surdutach i tylko na jarmark i na zgromadzenia biorą na siebie coś chłopskiego tak dla oka — i nikt im tego za złe nie bierze, bo mądry nie patrzy, jak kto ubrany, tylko jak postępuje, jak czyni. Nie z ubrania będzie nas Bóg sądził, ale z naszych uczynków. W dzisiejszych czasach to w surdutach i sutannach chodzą prawie same dzieci chłopskie. I dzięki Bogu, że coraz więcej dzieci z ludu idzie na sędziów, profesorów, urzędników itd. Otóż nie powinno się szczuć na tych, co w surdutach chodzą, bo to nie po katolicku, a powtóre, że się szczuje na samych swoich. Gdy urzędnik zły, to niech go p. Potoczek oskarży, ale niech nie mówi, że wszyscy w surdutach są źli, bo tak przecież nie jest. Są tacy i owacy. A czy wszyscy chłopi są dobrzy? czy wszyscy w sukmanach są sprawiedliwi? Jeżeliby wszyscy w surdutach byli źli, to i pp. Potoczkowie także byliby ludźmi złymi, bo chodzą w surdutach. Tak więc ani mówić, ani pisać nie godzi się, bo za to trzeba będzie przed P. Bogiem zdać sprawę. Ten w surducie urzędnik, kupiec, rzemieślnik itd. to przecież nie Moskal ani Prusak, tylko Polak, jeden lepszy drugi gorszy — ale mimo to nasz. Więc nie godzi się szerzyć nienawiści, ale przeciwnie miłować każe Bóg nawet tych, co nam źle czynią. A jeszcze jedno pytanie. Słyszałem, że na *Związek* coś 600 zlr. rocznie dają surdutowcy z Rady powiatowej w Sączu. Jeżeli tak jest, to czy wdzięczność, napadać na nich za to? Nie. Więc panowie, poprawcie się.

Miłość bratnią szerzcie, nie złość i nienawiść. Za każde słowo czeka was nagroda lub kara, — a nikt nie wie dnia, ani godziny. — Polecam Szan. Redakcyi moje czytelnie, pamiętajcie o nich szczególnie wtedy, gdy mnie Bóg powoła do siebie. *Ks. Stan. Z.*

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA.

Belgia. W Brukseli w stolicy Belgii dokonał zamachu morderczego Gennaro Rubino, Włoch, na króla belgijskiego Leopolda. Król jednak uniknął śmierci a anarchistę Rubina osadzono w więzieniu.

Wiedeń. D. 18 paźdz. po kilkodniowej przerwie zebrała się znów Rada państwa. Położenie polityczne w Austryi tak zagmatwane, że nie można przewidzieć, co nastąpi i jak się ten „galimatyas" polityczny skończy. O najrozmaitszych pogłoskach i domysłach szkoda nawet wspominać, bo ciągle ulegają zmianie i co dzisiaj na pewno twierdzą, to już w następny dzień zaprzeczają. W jeden dzień głoszą, że Rząd to jest ministrowie ustąpią a Parlament zostanie a w drugi dzień znów zapewniają, że Rząd pozostaje a Parlament albo będzie rozwiązany albo na dłuższy czas odroczony. W kołach politycznych panuje taki zamęt, że najbystrzejsi politycy nie są w stanie zdać sobie jasno sprawy, jak się stosunki polityczne w Austryi ukształtują. Ciężka niemoc i niedbalstwo opanowały Rząd i Parlament a lekarza nie ma, coby skutecznie zaradził chorobie. Najgorzej na tem wychodzą wyborcy, bo ich ta „kołowacizna" Rządu i Parlamentu grubo kosztuje, nie mając w zamian za to najmniejszej korzyści. Tak marnować czas, tak bawić się w „ciuciubabkę" na cudzy rachunek, to grzech ciężki, to straszna odpowiedzialność. Ale sumienie Rządu i Parlamentu jest widocznie zbyt nieczułe i zbyt szerokie, kiedy na nic nie zważa i jedyną troską tak Rządu jak i Parlamentu jest własne utrzymanie się i własny interes a co do wyborców... pal ich licho! Tym się jakoś zamydli oczy i będzie dobrze!? Lud polski na razie z niecierpliwością wyczekuje, jakie stanowisko wobec nowego przedłożenia o podwyższenie kontyngentu rekrutów zajmie „Koło polskie" a zwłaszcza posłowie ludowi.

Jerozolima. Panuje tu cholera. Podróżni, jadący do Jerozolimy i z powrotem, są zatrzymywani w Jaffie kilkanaście dni, aby nie przenosili zarazy.

Włochy. W okolicach Rzymu było trzęsienie ziemi. Niektóre domy są uszkodzone. Ludność jest wielce wzburzona. Pomimo brzydkiej pogody gotowała się do nocowania na placach.

Na morzu Czerwonem rozbójnicy tureccy ograbili poddanych włoskich. Rząd włoski wysłał na morze kanonierki (małe statki z armatami) i zażądał zadośćuczynienia. Rząd turecki obiecał wydać rozbójników i zapłacić około 15 tysięcy rubli poszkodowanym. Do czasu jednak spełnienia obietnicy kanonierki mają zostać na miejscu.

Bulgarja. Morderca Stambułowa, byłego głównego ministra bulgarskiego, którego zabito przed paru laty, został skazany przez sąd na śmierć.

Zatonięcie okrętu. Angielski parowiec „Seang Leong", należący do Chińczyków w Singapore, przybył w pierwszych dniach sierpnia w drodze

z Penang do Amoy. Stąd wypłynął na pełne morze po kilku dniach, dotychczas atoli nie ma o nim żadnych wiadomości, znaleziono tylko po nim beczkę („boję“) ratunkową, którą odesłano do konsulatu angielskiego w Amoy. Okręt zatonął, jak się zdaje, rozbity przez „tajfun“ (wiatr). Na pokładzie jego znajdowało się 800 robotników chińskich i ładunek ryżu.

Krzywdy i nadużycia.

Pan rządca żyd W dobrach izraelity milionera Bretlera w Turce pod Kołomyją jest rządcą niejaki żyd Laufer, indywiduum nie posiadające żadnej praktyki agronomicznej, a rozumiejący się tyle na gospodarce co wilk na muzyce, — ale zato żyd ten posiada tak wielką pychę, że przy każdem spotkaniu się nadstawia każdemu swą łapę do całowania. Za co, nie wiadomo. Może za to, że robotnikom dziennym nie wypłaca ich należytości po dwa tygodnie a wypłaca ją zawsze w niedzielę do południa podczas odprawiania mszy św. a setki ludzi czeka przed żydowską kancelaryą na wypłaty. Co więcej! Sługom rocznym, będącym w czynnej służbie, pod Lauferem, powodzi się także nie źle, gdyż mając w umowie zastrzeżony opał z lasu nie dostają od niego takowego i cały miesiąc. Zdarzyło się, że gdy żona fornala Rybaka poszła się upomnąć o drzewo na opał, gumienny żyd tak ją zbił kijem, że ta trzy tygodnie rękami nie mogła ruszyć ani dzieciom i mężowi strawy zgotować. Gdy poszła na skargę do Laufera, by sprawę załagodził, tenże powiedział jej, że jeżeli gdzie się jeszcze ze skargą uda, to niech więcej mąż się nie pokazuje. Żyd ten nie chciał też dać swoim ludziom kartofli, które im się należą. Gdy któryś z ludzi się odezwał, czemu nie chce dać, wtedy Laufer zaraz poleciał ze skargą do powiatowej Komendy żandarmeryi, że chłopi chcą strejkować, skutkiem czego zrobiono bezpodstawne dochodzenia. Otóż pytamy, czy taki żyd w dwóch czapkach nie jest inicyatorem strejku?

Na razie poprzestajemy na tej wzmiance, a jeżeli ten pan co prędzej z zajmowanej posady usuniętym nie zostanie, wyjawimy publicznie inne jeszcze jego sprawki, które spowodują przymusowe wydalenie jego gdzie pieprz rośnie a do tego zaprowadzą go do ula. Tacy rządcy są w istocie rozsadnikami strejków.

Jak okradają nasz lud obcy fabrykanci. Fabryka narzędzi rolniczych pod firmą Glaser & Lorenz w Wagstacie (Biławcu) na Śląsku austryackim, bierze się na sposoby celem zwabienia jak największej ilości odbiorców na swe maszyny. Otóż dochodzą nas liczne zażalenia, że firma ta wysyła po naszym kraju agentów, którzy albo z natarczywością wpychają po miastach rolnikom te maszyny, albo też wygotywują zamówienia na takowe na imię osób, które bynajmniej żadnego zamówienia nie zrobiły, dowiadując się widocznie o nazwiska osób będących według ich myśli w możności podobne zamówienia czynić. Oczywiście, że wskutek fałszywie przez agenta sporządzonego zamówienia, nibyto zamówiona maszyna z fabryki do odnośnej stacyi kolejowej dla upatrzonego adresata nadchodzi, a gdy jej tenże ze stacyi nie odbiera, pozostaje maszyna przez jakiś czas na składzie kolejowym a następnie kolej sprzedaje takową na koszt i niebezpieczeństwo adresata przez licytacyę. Czego jeszcze wymieniona firma

przez swych agentów nie robi? Korzystając z nieświadomości naszego ludu dla złapania odbiorców umieszcza w swoich fałszowanych zamówieniach pokwitowania na odbiór zadatków, których odbiorcy wcale nie zapłacili. Dalszem następstwem tak podstępnego postępowania tej firmy jest, że taż skoro adresat nigdy przez nie zamówionej maszyny nie odbierze, zaskarża go o zapłacenie rzekomo należącej się jej za maszynę ceny, kosztów przesyłki, składowego itp. do Sądu powiatowego w Wagstadt. Zaskarżony, nie poczuwając się do żadnego względem firmy obowiązku i nie znając skutków prawnych niestawienia się na terminie, a do tego nie mając najczęściej wiadomości, gdzie wymieniona miejscowość się znajduje, na termin ten się nie zjawia, a skutkiem tego jest, że przeciw niemu zapada wyrok zaoczny, po którego prawomocności firma prowadzi egzekucyę czy to przez zajęcie ruchomości czy też przez zaciągnięcie długu na hipotekę. Tak więc biedny wieśniak, któremu o żadnej maszynie nawet się nie śniło, nietylko jej nie otrzymuje, ale musi firmie za nią zapłacić, bo inaczej grozi mu licytacya. Wobec tak niesumiennego postępowania wymienionej firmy ostrzegamy naszych czytelników, aby u niej żadnych zamówień nie robili, i swych znajomych, gdy usłyszą o przybyciu do wsi agenta tejże ostrzegli. Macie inne dobre firmy tutejsze polskie, u których bez żadnej obawy także na raty dobry towar dostać możecie. Po co wam jakichś tam Glaserów, Lorenzów, Kokorów itp. Jeżeli zaś o takich firmach nic nie wiecie, to odnieście się do nas, a chętnie wam z podaniem adresów dobrych firm służyć będziemy. Zdaje się nam, że te oszustwa firmy wspomnianej i te formalne tyranizowania i niszczenia ludu naszego nadawałoby się pod czujną opiekę Policyi, Żandarmeryi i c. k. Prokuratoryi Państwa, bo to istny rozbój osłonięty niby drogą legalną. Dla takich rzezimieszków najstosowniejszem miejscem kazamaty więzienne. Obecnie jedyna rada pędzić agentów na cztery wiatry.

Kronika i rozmaitości.

Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach. Pod takim tytułem wydał książeczkę Dr. Lamberg. Polecamy ją naszym czytelnikom, niech kto może przeczyta i rady w niej zawarte sobie zapamięta. Wydawnictwo to będzie szczególnie pożyteczne dla tych okolic, gdzie lekarza nie ma na miejscu i w razie wypadku trzeba dopiero mil kilka po niego jechać. Broszurę tę dostanie w każdej księgarni.

Połykacz pereł. Z Medjolanu donoszą: Do jednego z jubilerów zgłasza się wytworny jakiś mężczyzna, z akcentu Anglik, z żądaniem nabycia pereł. Wybrawszy kilkanaście drobniejszych, lecz bardzo pięknych, prosi o szklankę wody. Jubiler, zaniepokojony zachowaniem się nieznajomego, dzwoni na służącego, któremu poleca przynieść wody — wskazując mu zarazem nieznacznie pilnowanie gościa. Zapłaciwszy tymczasem umówioną cenę 800 franków, nabywca zgarnia kupione perły, wpuszcza je w podaną mu wodę i wszystko razem wychyla do dna. — Widząc niebywałe zdumienie jubilera, nieznajomy objaśnia: „Świetny to środek przeciw neurastenji, ale djablo drogi — wypiłem już pereł przeszło za 6000 franków.

Dewet, zmęczony jest po napisaniu swej książki daleko bardziej, niż po odbyciu nużącej kampanii. „Praca autorska — mówił do współpracownika *Matin* — jest ciężką pracą. Miałem wrażenie, że jestem więźniem wypuszczonym na wolność, gdy wreszcie skreśliłem słowo „koniec“ na manuskrypcie. A jednak — rzecz dziwna, zamierzam napisać nową książeczkę „O szpiegostwie podczas wojny“. Okazuje się, że kto umaczał palec w atramencie, ten czuje do niego pociąg, jak alkoholik do wódki“. Dewet w tych dniach wyrusza do Afryki Południowej.

Pensye na starość w Nowej Zelandji. Od roku 1898 istnieje w Nowej Zelandyi ustawa, mocą której każda osoba przynajmniej pięćdziesięcioletnia, składająca przed sądem dowód, że nie posiada majątku, iż dawniej pracowała na chleb, obecnie zaś już nie potrafi pracować, uprawnioną jest do pobierania państwowej pensyi na starość; pensya ta wynosić ma najwyżej 18 funtów szterlingów, czyli 432 koron rocznie. Otóż w r. 1901 takich pensyonistów było 12 tysięcy 405. Ogólna suma pensyj wypłaconych w r. 1901 wynosiła blisko $4^1/_2$ milionów koron, to znaczy, że przeciętnie każdy starzec otrzymał przeszło 17 funtów, czyli 408 koron. Ponieważ zaś ogólna liczba ludności Nowej Zelandyi 750 tysięcy, więc każdy 60-ty człowiek, pobierał państwową pensyę na starość. Kiedy tak u nas będzie?

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Adolf Szuścik. Na razie zaprowadzamy na jeden rok. Jeżeli zobaczymy, że naszą myśl chętnie przyjęto i będą ją popierać pomiędzy wszystkich znajomych i krewnych, to zaprowadzimy na zawsze. — Prosimy Pana rozpowszechniać wiadomość i gazetę. Jeżeli trzeba odezwy osobnej, to niech Pan napisze, a przyślemy więcej egzemplarzy.

P. Marek. Mapę Polski wydrukujemy i roześlemy w r. 1903.

P. Pliszczak. O kalendarz i o książki niech Pan pisze do księgarni K. Wojnara w Krakowie, ulica Szewska. Zaraz Panu stamtąd wszystko wyślą.

P. Zakrzewski. W sprawy takie nie możemy się wdawać z braku czasu. A takich spraw w Krakowie jest tysiące. Zrób Pan na niego skargę do samego ministra. Co się tyczy domu, to pan napisz k r ó t k i e ogłoszenie, dalej ile razy ma być wydrukowane i przyślij Pan za każdy raz 1 złr. — to wydrukujemy. Ogłoszeń za darmo dawać nie możemy, bo my sami musimy płacić w drukarni,

P. Andrzej Kois i P. Józef Chowaniak. Pieniądze otrzymaliśmy.

P. Dutkiewicz. Wysłaliśmy. — Dziękujemy.

Z targów zbożowych. Kraków, dnia 18 listopada. Płacono za 100 kilogr. netto Pszenica od 16·— do 16·55; — Żyto od 14·— do 15·20; Jęczmień od 12.30 do 13·—; — Owies z opłatą akcyzową od 13·— do 13·80; — Groch od 18·— do 26·—; — Tatarka od 14·— do 19·—; — Proso od 11·— do 14·—; — Fasola od 14·— do 18·—; — Jagły od 18·— do 24·—; Siano od 5·60 do 6·40; — Słoma od 4·— do 4·40; — Koniczyna na paszę od 6·40 do 6·80; — Ziemniaki za hektolitr od 3·60 do 4·—; — Jaja za kopę od 4.20 do 4.80; — Masła za kilogr. od 1·80 do 2·20; Kukurudza za 100 kilogr. od —·— o 15·—; Kapusta w głowach świeża za kopę od 1·80 do 2·80. Wszystko liczono w koronach.

Wydawca: Franciszek Ptak. — Redaktor odpowiedzialny: Władysław Jaśko. — Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego.